

Z teatru

„Śmierć albo gorzkie życie“

Tak właśnie brzmi słynny hamletowski dylemat „Być albo nie być” w wersji Stanisława Trembeckiego. W spuściźnie osiemnastowiecznego naszego poety znalazł się bowiem także „Monolog Hamleta wytłumaczony ze znajomej pod tym tytułem Tragedii Szekspira”.

Pełnych tłumaczeń jest kilkanaście. Spośród współczesnych dobrze wytrzymałe próbie sceny przekład Romana Brandstaettera, grany obecnie w Teatrze Powszechnym przy ulicy Zamoyskiego na Pradze. Przekład jest wierny, precyzyjny, wyrazisty. W porównaniu z bardziej swobodnym przekładem Iwaszkiewicza stawia jednak trudniejsze zadanie przed aktorami o nie dość wyrobionej dykcji. Po prostu proporcja trudnych dźwięków spółgłoskowych jest większa. Kosztem płynności można osiągnąć nawet czasem większą dynamikę słowa, ale pod warunkiem, że dykcja wypowiadającego jest absolutnie czysta. A to nie jest zjawisko zbyt powszechne w naszym świecie aktorskim i nawet w Teatrze Powszechnym można było zauważyć pewne kłopoty pod tym względem w czasie pięknego przedstawienia w pełnej kulturze, pietyzmu i smaku reżyserii Ireny Babel oraz scenografii Jankowskiej i Tosty, którzy swoją niezawodną malarskość i fantazję łączą z tendencją do nadrealizmu i ekspresji, co świetnie współgra z poetyckim i barokowym Szekspirem.

Jak zawsze Hamlet jest nie tylko wydarzeniem repertuarowym i inscenizacyjnym, ale także popisem aktorskim. Wiele sław, jak to się mówi, „połamało nóżki” w tych kreacjach. Załuję, że przed kilku laty nie widziałem Hanuszkiewicza w tej roli w Poznaniu, gdzie ją grał na zmianę z Białoszczyńskim w reżyserii Horzycy. Obecna jego kreacja robi wrażenie jednak tak świeżej i gorącej, że nie ma wątpliwości, iż tworzy na nowo w odparciu o dawne doświadczenia, a nie powtarza siebie sprzed kilku lat. W porównaniu z dość słynną kreacją Herdegena przed paru laty w Krakowie, Hanuszkiewicz gra z nie mniejszym napięciem intelektualnym, a prócz tego rozporządza porywającą żywiołowością. Przekonywająca jego aparycja dodaje uroku królewiczowi duńskiemu i rzuca aktorski blask na całe przedstawienie.

Janina Nowicka jako Ofelia w pierwszym akcie gra dość chwytliwie, kryguje się i mizdrzy. Ale oto w scenie z aktorami chwytła nutę, jest już bardzo dobrą Ofelią, coraz lepszą w miarę rozwijania się akcji, by w scenie obłędu, który gra nadzwyczaj lekko, z prawdziwym poletem, stać się absolutnie godną partnerką Hanuszkiewicza.

Barycz jako Laertes jest trzecim filarem przedstawienia. Spełnia doskonale to co jest jego obowiązkiem: pozwala Hamletowi grać pierwsze skrzypce, ale towarzyszy mu krok w krok, tak że można uwierzyć w rzeczywisty konflikt. Mocny w stylu jest Rydel jako król Klaudiusz, silne wrażenie robią maski aktorów oraz Duch Ojca Hamleta przemawiający dyrektorskim głosem Tadeusza Kaźmierskiego. Miejmy nadzieję, że Szletyński jako Połoniusz po pewnym czasie dołączy do stawki leaderów. Wśród w próby w końcowej fazie i robił wrażenie jakby jeszcze eksperymentował, szukał wyrazu. Miał postać Horacego, gra dość szlachetnie Czechowski.

Piękne przedstawienie ma niestety poważne luki aktorskie, które mogłyby ściągnąć na teatr epitet prowincjonalności, gdyby rzeczywistość istniała dziś wyraźny dystans między teatrami stołecznymi a mniejszych miast. Dające pole do wygrania wdzięcznych efektów postacią Rozenkrantz i Guildensterna zostały odtworzone przez Tomackiego i Mayzela bardzo ubogo, zaś zupełnie nie do przyjęcia jest Janina Martini jako królowa. Również nie możemy uwierzyć w szczęśliwe rzadzi Fortynbrasa w wydaniu Mieczysława Kalenika. Czyż po to wymordowało się tylu znamienitych Duńczyków, żeby na opustoszałą arenę wchodził giermek, a nie król norweski, którego sam Hamlet w chwili zgonu widzi godnym objęcia władzy. Nawet Szekspir nie chciał, żeby życie było aż tak gorzkie.

JERZY ZAGORSKI